

Bronisław JAKUBIEC SDS

KWIATKI KSIĘDZA TADEUSZA

Dla nas był on Małym Księciem. Skojarzenie z tą niezwykłą postacią z książki Antoine'a de Saint-Exupéry'ego nasuwało się z wielu powodów, nie tylko przez to, że pseudonim ten nawiązywał do postury księdza Stycznia, ale też dlatego, że Ksiądz Profesor często w swoich wykładach odwoływał się do mądrości ujawniającej się w tej postaci.

Nasz znany poeta Leopold Staff napisał o *Kwiatkach św. Franciszka z Asyżu*: „To jedna z najczarowniejszych, najczystszych, najradośniejszych książek, jakie zna literatura. Jest ona pociechą i nadzieją. Uczy wiary w miłość i w dobroć serca ludzkiego. Książka ta cała śpiewa”¹.

„Kwiatki księdza Tadeusza” – taki właśnie tytuł chciałbym nadać swoim krótkim wspomnieniom o księdzu profesorze Tadeuszu Styczni, salwatorianie. Tytuł ten wydaje się bardzo stosowny. Chociaż „kwiatki” łączą się z osobą świętego Franciszka z Asyżu i od razu się z nim kojarzą, ale przecież także w słowach i zachowaniach innych osób, w sytuacjach i zdarzeniach z ich życia – podobnie jak u św. Franciszka – odnajdujemy różnorodność kolorów, kształtów i zapachów. Ktoś powiedział, że kwiaty są uśmiechem Pana Boga. Wszystko to tak bardzo pasuje również do osoby księdza Tadeusza i chciałbym właśnie kilka kwiatków z życia tego wyjątkowego człowieka zebrać i ułożyć w wiązkę wspomnień – a czynię to w hołdzie jednemu z najwybitniejszych polskich salwatorianów i jednocześnie człowiekowi, którego miałem szczęście znać z bardzo bliska.

Naszą znajomość mogę podzielić wyraźnie na trzy etapy. Pierwszy, kiedy byłem klerykiem (lata 1975-1981), drugi, gdy byłem już księdzem tuż po święceniach kapłańskich i studiowałem w Rzymie (lata 1981-1984) oraz okres trzeci, od roku 1999, kiedy zostałem wybrany na członka zarządu generalnego Towarzystwa Boskiego Zbawiciela (salwatorianów) i przeprowadziłem się do Rzymu. Okres trzeci trwał do śmierci Jana Pawła II. Później ksiądz Tadeusz już tylko sporadycznie pojawiał się w Rzymie (przyjechał na przykład przyjąć doktorat honoris causa na Uniwersytecie Laterańskim). Rozwijająca się choroba nie pozwalała mu nawet na zbyt częsty kontakt telefoniczny. Pozostała nam tylko wdzięczna modlitwa i serdeczne myśli oraz informacje o stanie jego

¹ L. Staff, *Wstęp*, w: *Kwiatki świętego Franciszka z Asyżu*, tłum. L. Staff, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1978, s. 16.

zdrowia, które docierały do Rzymu. O informacje te bardzo zabiegałem; musiałem często dzielić się nimi z wieloma osobami w Rzymie, Italii i innych zakątkach świata. Z osobami, które znały księdza Tadeusza i o niego pytały.

Piszę swoje wspomnienia ze świadomością, że są one dla mnie bardzo osobiste: dotyczą moich kontaktów z księdzem Tadeuszem. Obejmują zaledwie część zdarzeń, o których chciałbym opowiedzieć, lecz musiałem dokonać wyboru. Dotyczą bardzo zwyczajnej codzienności, dlatego są proste jak każdy zwyczajny dzień. Nie ukazują księdza Tadeusza jako wybitnego filozofa, przez pryzmat jego działalności i dokonań naukowych, ale jako współbrata, salwatorianina. Pragnę w nich wyrazić piękno jego osoby w sytuacjach zwykłych, codziennych zdarzeń.

PROFESOR

BĘDZIE NAS UCZYŁ

8 września 1975 roku, składając pierwsze śluby zakonne, razem z innymi współbraćmi kończyłem nowicjat. Okres ten był czasem przygotowania do złożenia ślubów. Myślamy wybiegaliśmy już do nowego roku akademickiego 1975-1976, do naszego pierwszego roku studiów filozoficznych w Wyższym Seminarium Duchownym Salwatorianów w Bagnie koło Wrocławia.

Nasi starsi współbracia klerycy – jak to zwykle bywa – wprowadzając nas żółtodziobów w życie kleryckie, opowiadali o wykładach i o przedmiotach z zakresu filozofii, które nas oczekiwały; straszili przy tym, że są trudne. Czynili to z typowym dla studentów znawstwem, nierzadko dobrze się bawiąc, kiedy patrzyli na nasze wystraszone miny. Mówili o profesorach i o sposobach prowadzenia wykładów oraz o czekających nas egzaminach, które w ich opowieściach zawsze przypominały „rzeż niewiniątek”.

Był jednak pewien profesor, który w komentarzach starszych współbraci różnił się od innych. Mówiąc nam o nim, zastanawiali się raczej nad tym, czy będzie w tym roku wykladał w Bagnie. Ponieważ prowadził zajęcia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, należało się liczyć z tym, że nie będzie mógł przyjeżdżać na wykłady do naszego seminarium. Wysyłał niekiedy w zastępstwie inne osoby. Na te wykłady – na wykłady księdza profesora Tadeusza Stycznia – czekali jednak wszyscy. Jego sława wyprzedziła wówczas jego przyjazd do Bagna. Byliśmy szczęśliwi i pełni entuzjazmu, kiedy przyszła wiadomość, że będzie osobiście wykladał etykę w roku akademickim 1975-1976. Naszą reakcją była wielka radość. Hurra! Będzie naszym Profesorem!

WYKŁADY Z UŚMIECHEM

Program studiów przewidywał wykłady z etyki w wymiarze jednej godziny tygodniowo. Ponieważ Ksiądz Profesor nie mógł przyjeżdżać co tydzień na jedną godzinę etyki, wykłady były łączone. Zatem raz w miesiącu mieliśmy czterogodzinne spotkania z księdzem profesorem Stycznem. Nie pamiętam już szczegółowo treści wykładów, nie pamiętam lektur, może za wyjątkiem dwóch: *Miłości i odpowiedzialności* Karola Wojtyły i pierwszej części *Zarysu etyki* ks. Tadeusza Stycznia, zatytułowanej *Metaetyka*, książki wydanej rok wcześniej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, ale pamiętam ujmujący sposób wykładania. Ksiądz Profesor wykladał bardzo sugestywnie, gestykulował, mówił z wielką pasją. Czuło się wyraźnie, że doskonale wie, o czym mówi. Czasem siadał z przodu, na ławce, która była wolna, i robił dygresje, zachwycając się pięknem muzyki, pięknem otaczającego nas świata (za oknami sali wykładowej rozpościerał się przepiękny park przypałacowy otaczający nasze seminarium, który zmieniał się nie do poznania wraz z porami roku, ukazując oszałamiające piękno przyrody w każdej z tych pór) i nieustannie zachwycił się pięknem osoby ludzkiej. Zawsze z tym ujmującym, delikatnym, łagodnym uśmiechem.

MAŁY KSIĄŻĘ

W ciągu sześcioletniego pobytu w seminarium wielokrotnie miałem okazję do spotkań z Księdzem Profesorem. W następnych latach akademickich również pojawiał się na wykładach, chyba że przysyłał kogoś w zastępstwie. Przyjeżdżał na konferencje pedagogiczne, czasem na jakieś sympozjum. Kiedy jako klerycy o nim rozmawialiśmy, to – jak to zazwyczaj bywa – używaliśmy „ksywy”. Dla nas był on Małym Księciem.

Skojarzenie z tą niezwykle postacią z książki Antoine’a de Saint-Exupéry’ego nasuwało się z wielu powodów, nie tylko przez to, że pseudonim ten nawiązywał do postury księdza Stycznia, ale też dlatego, że Ksiądz Profesor często w swoich wykładach odwoływał się do mądrości ujawniającej się w tej postaci. W cieniu bajkowej fabuły opowieści o Małym Księciu znajdujemy bowiem treść symboliczną o wymiarze uniwersalnym. Nie my wymyśliliśmy przezwisko „Mały Książę” – przywędrowało ono do nas z Lublina, ale je „kupiliśmy”.

Po latach, kiedy w Rzymie zobaczyłem na wystawie antykwariatu książkę *Mały Książę* w języku włoskim, od razu – nie zastanawiając się – kupiłem ją i podarowałem Księdzu Profesorowi. Śmiał się, dziękował i powiedział mi wówczas, że wie o tym, że go tak nazywają.

SALWATORIANIN

BIAŁY KRUK

Tuż po święceniach kapłańskich w roku 1981 w czasie wakacji cały nasz kurs nowo wyświęconych kapłanów udał się do Rzymu, do grobu naszego Założyciela, czcigodnego sługi Bożego ojca Franciszka Marii od Krzyża Jordana. Trasa pielgrzymki prowadziła przez kilka miejsc związanych z osobą ojca Jordana. Po odwiedzeniu Gurtweil w Niemczech, miejsca jego narodzin, oraz Tifers w Szwajcarii, miejsca, gdzie zmarł i gdzie odbył się jego pierwszy pochówek, przybyliśmy do Domu Generalnego. Nareszcie Rzym.

Być w Rzymie i nie widzieć Papieża! Tak, to było możliwe. Ojciec Święty, po zamachu na jego życie w dniu 13 maja, przebywał już wprawdzie w swojej letniej rezydencji w Castel Gandolfo, ale był to czas rekonwalescencji, czas powracania do zdrowia. Słyszeliśmy, że jest tam również ksiądz Tadeusz, ale nie było można się z nim skontaktować. Nadszedł koniec wakacji i współbracia powrócili do Polski. Ja jednak, wraz ze współbratem ks. Tadeuszem Koncewiczem, zostałem w Rzymie. Przełożeni wysłali nas na studia specjalistyczne i rozpoczęliśmy kurs językowy.

Kiedy Ojciec Święty powrócił do Rzymu, w naszym domu pojawił się ksiądz Styczeń. Wiedział, że z okazji jubileuszu – setnej rocznicy założenia naszego zgromadzenia zakonnego – mieliśmy przyjąć święcenia kapłańskie w Rzymie z rąk Jana Pawła II. Niestety, strzały na placu św. Piotra w pamiętny dzień 13 maja pokrzyżowały te plany. Któregoś wieczoru Ksiądz Profesor powiedział do nas obu: „Jutro rano idziemy razem na Mszę Świętą do prywatnej kaplicy Papieża”.

Ta wiadomość tak mnie poruszyła, że w nocy nie mogłem zasnąć. Rano wyruszyliśmy do Watykanu. Pierwszy raz przekroczyłem progi Pałacu Apostolskiego, przechodząc przez słynną Spiżową Bramę, przy której pełni wartę Gwardia Szwajcarska, nosząca charakterystyczne mundury, których projekt przypisywany jest Michałowi Aniołowi. Ksiądz Profesor, jak się szybko zorientowaliśmy, był tam wszystkim znany i witany salutowaniem. Wszędzie otwierały się przed nim drzwi. Przechodziliśmy oszołomieni przez niezwykle korytarze, przez które przemawiały wieki i ludzki geniusz twórców. Te ostatnie drzwi, już na trzecim piętrze, na które wjechaliśmy windą, drzwi prowadzące do apartamentów prywatnych Papieża, otworzył jego sekretarz ks. Stanisław Dziwisz. Wprowadził nas do kaplicy. Tam na klęczniku przed ołtarzem modlił się Ojciec Święty. Być może to widok jego białej szaty sprawiał, iż miałem wrażenie, jakby promieniował od niego blask.

Po Mszy Świętej Jan Paweł II spotkał się z nami. Pamiętam, że Ksiądz Profesor bardzo ciepło mówił o nas Papieżowi. Także o tym, że mieliśmy

przyjąć święcenia kapłańskie w Rzymie z jego rąk. Podał Ojcu Świętemu przygotowany na tę okoliczność obrazek, na którym wypisane były nasze nazwiska z informacją w języku łacińskim, że święceń udzielił nam Jan Paweł II. Papież wziął z jego ręki ten obrazek i zamyślił się nad nim. Do nas powiedział: „Ten Turek również was zranił”. Obrazek zatrzymał ze słowami: „To jest teraz biały kruki”.

WIDZIAŁEŚ MISTYKA

Dzięki księdzu Tadeuszowi czteroletni pobyt na studiach w Rzymie przyniósł mi unikalną możliwość wielokrotnego uczestnictwa w Mszy Świętej z Papieżem w jego prywatnej kaplicy oraz w Bazylice Świętego Piotra. Po pierwszej z nich powiedziałem księdzu Tadeuszowi, że Papież odprawia Mszę Świętą tak, jakby czynił to po raz pierwszy, i że uczestnictwo w pierwszym takim doświadczeniu to dla mnie jakby rekolekcje. Słowa te zapadły Księdzu Tadeuszowi głęboko w serce. Wielokrotnie powracał do nich, kiedy zabierał mnie na Mszę Świętą do prywatnej kaplicy Papieża, a to, że mnie tam zabiera, sprawiało mu radość.

Pamiętam szczególnie jedną, a właściwie dwie Msze Święte. Był to dzień po uroczystości Wszystkich Świętych, w kalendarzu liturgicznym Dzień Zaduszny. W tym dniu ksiądz Tadeusz zabrał mnie rano na Mszę Świętą do Jana Pawła II. W drodze powiedział mi, że jest to rocznica prymicji Ojca Świętego, który odprawił je w krypcie św. Leonarda w katedrze na Wawelu w Dniu Zadusznym. (W Dniu Zadusznym kapłani mają przywilej odprawienia trzech Mszy Świętych). W rocznicę tego dnia dwie Msze Święte odprawiliśmy razem z Papieżem, trzecią zaś Ojciec Święty celebrował po południu, na rzymskim cmentarzu Campo Verano.

W czasie pierwszej z nich Papież, tak jak miał to w zwyczaju, po odczytaniu Ewangelii na dłuższą chwilę zatopił się w modlitwie. Ponieważ siedziałem zwrócony twarzą do Ojca Świętego modlącego się na klęczniku na środku kaplicy, w odległości zaledwie może dwóch metrów od niego, z przejścia nie mogłem się skupić na treści odczytanej przed chwilą Ewangelii i wpatrywałem się w Jana Pawła II. Widziałem, że był tak zatopiony w modlitwie, że w owej chwili właściwie nieobecny w kaplicy. Głowę wsparł na dłoniach i znowu wydawało się, że od jego postaci bije blask. W pewnym momencie wyrwało mu się bardzo wyraźnie po polsku westchnienie: „Matko Boska, ratuj!”. Kiedy wracaliśmy do domu, zapytałem księdza Tadeusza, czy to słyszał. On zaś na potwierdzenie tajemniczo się uśmiechnął i powiedział: „Miałeś szczęście, widziałeś mistyka”.

ZOSTANIE TAJEMNICĄ, CO MIAŁ NA MYŚLI

W okresie, kiedy poznawałem język włoski, miałem w zwyczaju wieczorem przygotowywać się do odczytania Ewangelii, która przypadała na Mszę Świętą w kolejnym dniu. Pewnego razu, wieczorem, kiedy było już ciemno, zszedłem do kaplicy, aby przeczytać Ewangelię z liturgii następnego dnia. Kaplica tonęła w mroku. Zapaliłem lampkę oświetlającą ambonkę. W pewnym momencie do kaplicy wszedł ksiądz Tadeusz. Właśnie wrócił z Watykanu. Zobaczył mnie przy ambonce i zapytał, co robię. Wyjaśniłem, że uczę się czytać Ewangelię na jutro. Wówczas ksiądz Tadeusz powiedział: „No to przeczytaj na głos, abym i ja skorzystał”. Preczytałem. Była to Ewangelia o wyrzuceniu złego ducha. Po jej odczytaniu Ksiądz Tadeusz odezwał się: „Dziękuję. Czy wiesz, że właśnie teraz, wracając od Ojca Świętego, zobaczyłem w Watykanie wyraźne działanie diabła?”. Nigdy więcej nie wróciliśmy do tej rozmowy. Zostanie dla mnie tajemnicą, co miał na myśli.

JEDNA GŁOWA – TRZECH FRYZJERÓW

Już od czasu nowicjatu panował u nas zwyczaj, że w usługach fryzjerskich jesteśmy samowystarczalni. Tak też było w klerykacie. Zawsze znajdował się ktoś z talentem fryzjerskim, kto służył współbraciom potrzebującym ostrzyżenia. Kiedy przebywaliśmy na studiach w Rzymie, w naszej tamtejszej wspólnocie było dwóch braci, w podeszłym już wieku, pochodzących z Niemiec. Jeden z nich, brat Cassio, był niemal legendą – przede wszystkim jako prawa ręka ks. Pankracego Pfeiffera, który w czasie drugiej wojny światowej zasłużył się bardzo dla Rzymu, ukrywając Żydów, a także jako pośrednik między papieżem Piusem XII a niemieckimi dowódcami okupowanej stolicy Włoch. Brat Cassio przyjaźnił się również – aż do jej śmierci – z legendarną siostrą Pasqualiną. Także drugi brat, Wienfrid, był niezwykle osobowością. Chodził zawsze w habicie i miał długą białą brodę. Kiedy wychodził z domu na plac św. Piotra na *Anioł Pański* z Papieżem, pielgrzymi chętnie go fotografowali. To właśnie ci dwaj bracia byli naszymi „fryzjerami”.

Któregoś dnia ksiądz Tadeusz poprosił brata Wienfrida, aby ten go ostrzygł. Brat bardzo chętnie wyraził zgodę, ale jego umiejętności fryzjerskie nie były doskonałe i fryzura księdza Tadeusza, która wyszła spod jego nożyczek, pozostawiała wiele do życzenia. Ponieważ Ksiądz Profesor miał po południu iść do Papieża, po kontroli dokonanej przed lustrem zdecydował się odwiedzić brata Cassio, aby ten poprawił na jego głowie dokonania brata Wienfrida. Jak się wkrótce okazało, brat Cassio nie zdołał doprowadzić fryzury księdza Tadeusza do odpowiedniego stanu. Podstrzygł go nieco bardziej i przekonał, że

wszystko jest w porządku i że jako zakonnik nie powinien się zamartwiać fryzurą. Jednakże po ponownym spojrzeniu w lustro ksiądz Tadeusz zdecydował się przyjść po pomoc do mnie, nie miał bowiem odwagi pokazać się z tą fryzurą Papieżowi (ja byłem trzecim fryzjerem – strzygłem i brata Cassio i brata Wienfrida). Teraz pozostało mi już tylko fryzurę wyrównać, czyli ściąć włosy niemal całkowicie. „Schodów”, które pozostawili na głowie księdza Stycznia poprzedni fryzjerzy, nie można już było wyrównać. Trzeba było po prostu ściąć włosy jeszcze krócej i podgolić głowę.

Wieczorem, po powrocie od Papieża, ksiądz Tadeusz powiedział mi, że kiedy Ojciec Święty zobaczył go po owych „wizytach u fryzjerów”, był bardzo rozbawiony – śmiał się aż do łez.

POKORNA WIELKOŚĆ

Ksiądz Tadeusz nieustannie tworzył: pisał artykuły i przygotowywał nowe teksty. Kiedyś na tarasie naszego Domu Generalnego zapytał mnie i mojego współbrata, z którym przebywaliśmy w Rzymie na studiach, czy nie zechcielibyśmy przeczytać tekstu, który przygotował do publikacji, a następnie przedstawić mu nasze opinie i ewentualnych uwag. Byłem zaszokowany. W moich oczach był wielkim profesorem, znanym i szanowanym. W nauce jego nazwisko było jakby firmą. I właśnie mnie, studenta tuż po święceniach, poprosił o „sprawdzenie” jego tekstów. Oczywiście zgodziłem się z wielką satysfakcją, ciesząc się, że będę mógł przeczytać tekst jeszcze nieopublikowany. Po jego sprawdzeniu, do czego przyłożyłem się z całych sił, miałem kilka uwag i zarazem propozycji. Doskonale pamiętam, że ksiądz Tadeusz przyszedł do mnie do pokoju, a ja pokazywałem mu moje uwagi, które naniósłem na tekst oraz ich uzasadnienie. Nad każdą z nich zastanawiał się przez chwilę, a potem każdą po kolei akceptował. Na koniec podziękował mi i powiedział, że się cieszy, bo tekst będzie bardziej „perfetto”. Zobaczyłem w księdzu Tadeuszu pokorną wielkość. Od tamtego czasu na moim biurku pojawiały się jego teksty, które z wielką uwagą czytałem, dzieląc się propozycjami korektorskimi.

PAPIEŻ NA NARTACH

W „Corriere della Sera” przeczytałem sensacyjną wiadomość, że widziałno, jak Papież jeździ w górach na nartach. W tym samym czasie zastępowałem ks. Josepha Spellucciego w jego posłudze w kaplicy Najświętszego Sakramentu w Bazylice Świętego Piotra, gdzie salwatorianie pełnili dyżur. Co dzień przychodził tam odprawiać Mszę Świętą pewien monsignore, który był profe-

sorem w rzymskim seminarium. Któregoś dnia chwycił mnie za rękę i poufnie powiedział: „Musimy bardzo się modlić za Papieża”. Oczywiście, o słuszności takiej intencji modlitewnej byłem przekonany, ale zapytałem, co się stało, że prosi o tę modlitwę. Wyznał mi ściszym głosem, że mówi się, iż Ojciec Święty jeździł na nartach. Byłem wewnętrznie tą sytuacją rozbawiony. Po powrocie do domu, kiedy spotkałem księdza Stycznia, pozwoliłem sobie zadać mu pytanie: Księżę Tadeuszu, czy to jest możliwe, że Ojca Świętego widziano w górach i że jeździł na nartach? Ksiądz Tadeusz popatrzył na mnie i... nie udzielił mi odpowiedzi, ale jego tajemniczy uśmiech mówił mi: „Nie pytaj” i równocześnie potwierdzał, że to prawda. A ja mogłem już sobie wszystko sam dopowiedzieć.

Po kilku latach, kiedy już nie było to tajemnicą, od księdza Tadeusza poznałem szczegóły tych pierwszych wypadów Ojca Świętego na „białe szaleństwo”.

W KLASZTORNEJ KUCHNI PRZY ZMYWAKU

W czasach, kiedy studiowałem w Rzymie, w kuchni pracowały siostry salwatorianki. Do nas należało jednak nie tylko usługiwanie do stołu – zwyczaj ten zachował się do dzisiaj – ale również mycie naczyń po posiłkach. Za zmywakiem zawsze stawał ówczesny ekonom domowy ks. Giovanni van Meil, a my dochodziliśmy na dyżury, aby pomagać. Najczęściej było to przynoszenie, odnoszenie i wycieranie naczyń.

Bardzo chętnie dołączał do nas ksiądz Tadeusz, jeśli mu na to czas pozwalał, i jadł wówczas z nami posiłek. Czuł się domownikiem naszej rzymskiej wspólnoty zakonnej, a nie jej gościem. Ksiądz Giovanni był Holendrem i znał bardzo wiele języków. Pewnego razu w czasie tych „sesji” przy zmywaku ksiądz Tadeusz poprosił go, aby uczył nas języka włoskiego poprzez nazywanie poszczególnych naczyń, sztućców i innych przedmiotów znajdujących się wokoło.

Do dziś pamiętam – jako owoc tej zabawy, którą wymyślił ksiądz Tadeusz – uczenie się włoskiego słowa „sgabello”. Ta piękna nazwa oznaczała zwykły taboret, który stał w kącie. Pewnego dnia po „nauce języka włoskiego” przy myciu naczyń byliśmy z księdzem Tadeuszem zdziwieni i mile zaskoczeni, gdy w czasie wieczornych niesporów, odmawiając brewiarz, usłyszeliśmy słowo „sgabello” w odmawianym Psalmie. Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenie i dyskretny uśmiech. Co prawda w naszym polskim tłumaczeniu słowo to występuje jako „podnózek”, ale odmawiając tekst włoski, czuliśmy radość, że coraz lepiej rozumiemy ten język. Odmawialiśmy Psalm 110: „Wyroczenia Boga dla Pana mego, / «Siądź po mojej prawicy, / aż Twych wrogów położę / jako podnózek pod Twoje stopy»”.

STRAŻNIK TECZKI PROFESORA

Rankiem 13 maja 1981 roku, w dniu zamachu na jego życie, Ojciec Święty podpisał dokument, przez który powołał do życia na Uniwersytecie Laterańskim Papieski Instytut Jana Pawła II do Studiów nad Małżeństwem i Rodziną.

Ksiądz profesor Tadeusz Styczeń stał u początku tego dzieła, tak jak w przypadku podobnych inicjatyw w Dallas w Stanach Zjednoczonych i w Liechtensteinie. Od samego początku też prowadził cykl wykładów dla studentów Lateranu z zakresu filozofii etyki. Studiując w tym czasie na uniwersytecie salezjańskim, kilka razy poprosiłem go, by pozwolił mi pojechać z sobą na Uniwersytet Laterański i uczestniczyć jako wolny słuchacz w jego wykładach. Bardzo chętnie się na to godził.

Szliśmy zawsze na stację metra Ottaviano San Pietro i jechaliśmy do stacji San Giovanni in Laterano. Zabierałem księdzu Tadeuszowi teczkę, aby pomóc mu ją nieść i w ten sposób ułatwić mu podróż. Kiedyś uświadomiłem sobie, że jest to spora odpowiedzialność, w teczce znajdują się bowiem rzeczy ważne, a zwłaszcza przygotowane po włosku wykłady. Ścisnąłem ją więc mocno, aby znani ze swojej aktywności w rzymskich środkach transportu kieszonkowcy nie pokusili się na jej zawartość. W czasie jednej z takich podróży podzieliłem się z Księdzem Profesorem swoją refleksją na temat odpowiedzialności związanej z noszeniem teczki. W czasie rozmowy w metrze ksiądz Tadeusz opowiedział mi, że gdy ksiądz kardynał Wojtyła przybył do Rzymu, skradziono mu dokumenty, które ze sobą przywiózł. Nie wiem, czy dobrze zapamiętałem, ale wydaje mi się, że był tam tekst rekolekcji, do wygłoszenia których kardynał Wojtyła został poproszony przez papieża Pawła VI. Słowa te jeszcze bardziej mnie przekonały, że muszę uważać w czasie podróży, zwłaszcza gdy powstaje tłok. Ksiądz Tadeusz, żartując, powiedział wtedy z uśmiechem: „Teraz już jesteś nie tylko nosicielem teczki, ale też jej strażnikiem”.

W sali wykładowej siadałem jako wolny słuchacz. Jeszcze z seminarium znałem wykłady Księdza Profesora, a także jego żywy i bardzo dynamiczny sposób przekazywania wiedzy. Nie było to więc dla mnie nowością. Były nią natomiast dwie rzeczy. Przede wszystkim usłyszałem, jak doskonale ksiądz Tadeusz opanował język włoski. Pierwszy raz widziałem i słyszałem go w tak profesjonalnej sytuacji, jak prowadzenie wykładów w języku obcym.

Najbardziej jednak zachwyciły mnie świadectwa studentów, które wypowiadali oni na koniec wykładu w ramach wolnych pytań. Pochodzili z niemal całego świata. Do dziś jestem pod wrażeniem ich słów o tym, że w czasie studiów seminaryjnych nie mieli tego szczęścia, by poznawać filozofię, a w szczególności etykę w taki sposób, w jaki przedstawiał ją ksiądz Styczeń, personalista i kontynuator myśli Karola Wojtyły. Dla obu tych myślicieli osoba ludzka była najważniejsza i stała w centrum nauczania.

SUB SECRETO PONTIFICIO

Kiedy ksiądz Tadeusz przebywał w Rzymie, zawsze mieszkał w naszym Domu Generalnym przy Via della Conciliazione 51, który znajduje się o przysłowiowe dwa kroki od placu św. Piotra. Kochał ten dom, który pod koniec dziewiętnastego wieku nabył nasz Założyciel, czcigodny sługa Boży Franciszek Maria od Krzyża Jordan. Jest to szesnastowieczny pałac, zwany Palazzo Cesi, od nazwiska kardynała Cesiego, jednego z kolejnych jego właścicieli, sekretarza soboru w Trydencie. Pałac posiada cenne zabytki, w tym wspaniałe freski przypisywane artyście Pietro da Cortonie, który swoimi malowidłami ozdobił także Bazylikę św. Piotra.

Na zaproszenie księdza Tadeusza w dniu 19 marca 1999 roku naszą wspólnotę zakonną odwiedził sam Ojciec Święty Jan Paweł II i modlił się przy grobie naszego Ojca Założyciela.

Ksiądz Tadeusz miał w naszym domu zakonnym w Rzymie swój pokój, nie musiał więc, często podróżując do Polski i z powrotem do Rzymu, wozić z sobą wielu rzeczy. Z powodu planowanych remontów trzeciego piętra, gdzie początkowo mieszkał, musiał jednak dwa albo trzy razy się przeprowadzić. Ten sam los zresztą spotkał także nas, mieszkających wówczas w Rzymie studentów. Zaoferowałem księdzu Tadeuszowi pomoc w przeprowadzce i wraz z nim przenosiłem do nowego miejsca jego rzeczy. Znajdowały się wśród nich kartony z napisem „Sub Secreto Pontificio”. Przekomarzałem się z księdzem Tadeuszem, twierdząc że zajrzę do tych kartonów z papieskimi sekretami. On jednak wiedział, że żartuję i kwitował moje słowa uśmiechem. Te napisy na wiekach kartonów dały mi dużo do myślenia. Uświadomiłem sobie wówczas, że ksiądz Tadeusz uczestniczy – jako cichy współpracownik Piotra naszych czasów – w pracach o najwyższej wadze dla Kościoła powszechnego, służąc swoim talentem i wiedzą zdobytą u swojego profesora Karola Wojtyły.

„OPŁACIŁO SIĘ”

Historyjka pod tym tytułem jest zabawna i tragiczna zarazem. Słowa „opłacić się” mają bowiem sens dwuznaczny. Zaczniemy jednak od początku. Któregoś dnia dowiedzieliśmy się przy obiedzie, że ksiądz Tadeusz musi na dwa lub trzy dni polecieć do Polski. Były to jeszcze wówczas loty za Żelazną Kurtynę, którym towarzyszył cały upokarzający ceremoniał przekraczania granicy oraz konfrontacji z urzędem celnym. Jednemu ze współbraci przy stole wyrwało się pytanie: „Księżę Profesorze, czy to się opłaca – lecieć na trzy dni?”

Ksiądz Profesor polecał, a po powrocie szczegółowo opowiedział nam straszną historię o tym, co go spotkało. Po jego przylocie do Warszawy na

lotnisku zaproponowano mu, aby przeszedł przez granicę bez kontroli, przejściem dla korpusu dyplomatycznego. Poprzez kontakty z Ojcem Świętym, a tym samym ze względu na bardzo częste loty na trasie Warszawa-Rzym i z powrotem, był osobą znaną niektórym pracownikom LOT-u. Ksiądz Tadeusz jednak, w swojej skromności, nie zgodził się na szczególny sposób traktowania i na korzystanie z przywilejów tylko dlatego, że jest osobą znaną w Watykanie i bliską Ojcu Świętemu. Dlatego, jak zawsze, stanął z innymi pasażerami w kolejce na przejściu granicznym z przygotowanym do kontroli paszportem. Również do celników ów człowiek o nieposzlakowanej opinii zbliżył się bez obawy. Oni jednak nakazali mu otworzyć bagaż, a nawet zażądali pokazania portfela. To właśnie w nim znaleźli banknot waluty amerykańskiej, który przekraczał śmieszłą kwotę, jaką w czasach komuny można było wywieźć z Polski. Oczywiście, przywożąc te pieniądze, należało je zgłosić. Zwyczajne roztargnienie sprawiło, że ksiądz Tadeusz zabrał je do Polski, ale takie tłumaczenie celnikom nie wystarczyło.

Zdarzenie to uznano za przemyt i miało ono swój finał w sądzie. Sprawa zakończyła się wyrokiem skazującym księdza Stycznia na grzywnę za przywóz do kraju – bez odpowiedniego zdeklarowania – banknotu obcej waluty i przypadkiem tego banknotu na rzecz skarbu państwa. W sądzie nie przyjęto tłumaczenia, że przez roztargnienie obwinionego pieniądze te nie zostały usunięte z portfela przed wylotem do Polski. Przyjechał przecież z kraju, gdzie musiał posługiwać się obcą walutą, i po trzech dniach miał tam wracać. Nie wystarczyły też argumenty, że będąc profesorem etyki i wychowując młode pokolenie, nigdy by sobie nie pozwolił na przemyt obcych walut. Zresztą i kwota była śmiesznie mała, a całe zdarzenie pozostanie świadectwem dewiacji komunistycznych rządów w naszej Ojczyźnie.

Po powrocie do Rzymu, komentując w rozmowie ze współbratem wyrok grzywny i konfiskatę waluty, ksiądz Styczeń odpowiedział mu na pytanie, czy się „opłaca” wyjechać na tak krótko do Polski. Odpowiedział z poczuciem humoru i ze swoim ujmującym uśmiechem: „Opłaciło się”. Oznaczało to oczywiście specyficzną opłacalność, czyli że był to wyjazd na swój sposób kosztowny.

Długo jeszcze w żartach wracaliśmy do słów: „opłaciło się”. Ksiądz Tadeusz, kiedy je słyszał, zawsze był rozbawiony. Dawało to również obraz jego charakteru. Nie nosił w sobie urazy do sprawców tego bardzo przykrego dlań doświadczenia, którymi byli pełni poczucia władzy, często skorumpowani celnicy oraz komunistyczny wymiar sprawiedliwości. Wierny temu, czego nauczał, ksiądz Tadeusz nie mógł reagować inaczej. W każdej osobie ludzkiej dostrzegał dobro i tego też uczył ludzi młodego pokolenia.

PRZYJACIEL

MAM NOWY TEKST

Kiedy w roku 1999 po wyborze na członka zarządu generalnego Salwatorianów powróciłem do Rzymu, wielką radością płynącą z tej nowej, a zarazem nieznaney mi jeszcze posługi dla naszego zgromadzenia zakonnego na szczeblu międzynarodowym było to, że ponownie spotkałem księdza Tadeusza. On też wiele razy okazywał mi, że się bardzo z tego powodu cieszy. Na początek przyniósł mi do korekty swój nowy artykuł, ze słowami: „Mam nowy tekst, czy mógłbyś spojrzeć na niego?”. Oczywiście na nowo podjąłem tę tak dla mnie interesującą „współpracę” z księdzem Tadeuszem: czytanie jego tekstów i omawianie z nim wszelkich zaproponowanych przeze mnie uwag. I tym razem podziwiałem go za to, jak wielką okazywał wdzięczność i jak sobie cenił spostrzeżenia, które nie pochodziły przecież od specjalisty z dziedziny etyki ani od filozofa, ale od „laika”, oraz za to, jak bardzo cenił sobie korektę tekstu właśnie z tego powodu, że została ona dokonana przez „zwyczajnego” czytelnika – tę ostatnią rzecz sam ksiądz Tadeusz kilkakrotnie podkreślał.

PIELGRZYM NA VIA APPIA ANTICA

Pewnego razu po wspólnym wakacyjnym pobycie z Ojcem Świętym w jego letniej rezydencji w Castel Gandolfo ksiądz Tadeusz postanowił nie wracać do Rzymu z Ojcem Świętym, helikopterem (jak podróżował już kilka razy) ani samochodem z domownikami Papieża, powracającymi po wakacjach do Pałacu Apostolskiego w Rzymie. Postanowił natomiast odbyć pieszą pielgrzymkę z letniej rezydencji Piotra naszych czasów do grobu św. Piotra, podążając starożytną Via Appia Antica, na której Henryk Sienkiewicz w swojej książce *Quo vadis?* umiejscowił wzruszające spotkanie Chrystusa z uchodzącym z Rzymu przed prześladowaniem Piotrem apostołem, rybakiem z Galilei. Trasa wynosiła około dwudziestu pięciu kilometrów. Szedł prawie sześć godzin. Po powrocie do domu opowiedział mi swoje przeżycia. Bardzo pragnął pielgrzymować w samotności. Miał specjalną intencję, w której podjął tę pielgrzymkę. Po drodze modlił się, odmawiał różaniec. Kiedy doszedł do Rzymu, udał się do Bazyliki Świętego Piotra i tam gorąco dziękował za łaskę pielgrzymowania. Następnie zameldował się Papieżowi.

Ponieważ znałem tylko mały fragment starożytnej Via Appia udostępnionej specjalnie turystom, zapytałem, jak wygląda cała Via Appia Antica, którą przewędrował. Okazało się, że tylko fragmenty nadają się do pieszej wędrow-

ki. Za samym miasteczkiem Castel Gandolfo musiał iść polami, gdzie jedynie szpaler drzew wyznaczał tę drogę. Mijał stada pasących się owiec. Część drogi wiodła przez tereny prywatne. Część była zagrodzona. Na obwodnicy rzymskiej zwanej Grande Raccordo Anulare wybudowano specjalnie tunel, aby nie przerwać starożytnej drogi. Mógł więc przejść nad nim, górą. Tuż przed miastem musiał się zmierzyć z ruchem samochodowym. Odpoczął w kościele Quo vadis, Domine? Minał starożytny kamień milowy i przez imponującą bramę w murze miejskim wszedł do Wiecznego Miasta. Potem już najkrótszą drogą pomiędzy termami Carracali, wzgórzem Palatynu i Circus Maximus poszedł w kierunku wyspy Tiberina na Tybrze. Tam też przekroczył rzekę i – kierując się widokiem kopuły Bazyliki św. Piotra – doszedł do grobu Piotra apostoła. Był bardzo szczęśliwy z powodu tego pielgrzymowania. Zapytałem go, co było najbardziej uciążliwe w czasie drogi. „Omijanie stert wysypanych śmieci, którymi ktoś zaśmiecił nieuczyszczane odcinki Via Appia Antica” – odparł.

DWIE BEZDOMNE

W okolicach placu św. Piotra można spotkać bezdomnych. Ciepły, a w lecie gorący rzymski klimat pozwala im spędzać noce pod gołym niebem. Przychodzą po południu lub wieczorem, aby przenocować w swoich ulubionych miejscach. Najczęściej bywają to schody przed sklepami, które są na noc zamknięte, wnęki domów czy pasaże. Śpią za „parawanami” z kartonów. Można ich spotkać rano, kiedy zbierają swój dobytek i znikają na cały dzień. Niektórzy jednak cały dzień przesiadują w jednym miejscu, przypatrując się mijającym ich tłumom pielgrzymów i turystów, zmierzających do Bazyliki św. Piotra. Okoliczni mieszkańcy, domy zakonne oraz pomoc od diecezji rzymskiej czy innych organizacji charytatywnych nie pozwalają im umrzeć z głodu. Niektórzy bezdomni są lepiej znani mieszkańcom i z nimi zaprzyjaźnieni, koczują bowiem po kilka miesięcy, a nawet lat w jednym miejscu. Znani są też policji, która pełni służbę w naszej okolicy, i – jak niejeden z nich wyznał – czują się bezpieczni „pod bokiem” Ojca Świętego. Nie wszystkie miejsca, w których przebywają bezdomni w Rzymie, są tak bezpieczne.

Ksiądz Tadeusz wiele razy przechodził stałą trasę, idąc z naszego domu do Watykanu. Przez wiele miesięcy mijał dwie bezdomne starsze kobiety, które na noc zajmowały miejsce na stopniach sklepu Galleria Savelli: Articoli Religiosi, a w dzień siedziały w cieniu kolumnady Berniniego. Wśród mieszkańców naszej okolicy, sklepikarzy i dorożkarzy chodziły pogłoski, że pochodzą z one Sycylii i że to matka z córką. Były rzeczywiście do siebie podobne. Odnosiłem wrażenie, że nie do końca są zdrowe psychicznie. Mijając je, ksiądz

Tadeusz pozdrawiał je, mile się uśmiechając. One odwzajemniały te oznaki dobroci.

Któregoś roku, kiedy minęły upalne lato i ciepła jesień, temperatura spadła do kilku stopni powyżej zera, wiał wiatr i można było bardzo zmarznąć, siedząc tak w jednym miejscu pod kamienną kolumnadą, ksiądz Tadeusz, wzruszony ludzką biedą tych kobiet, podarował im ciepłe kurtki.

Pamiętam, że po śmierci Papieża któregoś dnia obie bezdomne zniknęły ze swojego zwykłego miejsca, w którym nocowały. W ubiegłym roku, już po śmierci księdza Tadeusza, przypadkowo odkryłem ich nowe miejsce pobytu, kiedy szedłem z kimś z Polski zwiedzić słynne schody Hiszpańskie. Przeniosły się na plac Hiszpański. Były w tych samych kurtkach, które podarował im ksiądz Tadeusz.

W POŻYCZONYM PŁASZCZU

Któregoś dnia ksiądz Tadeusz wybierał się do Watykanu, gdzie miało się odbyć jakieś szczególne spotkanie. Już nie pamiętam, czego dotyczyło. Przyszedł do mnie do pokoju z zapytaniem, czy może wyjść w ubraniu, które miał na sobie. Nie ubrał się wówczas w habit, ale w ładny czarny garnitur i w nową czarną koszulę kapłańską. Na to wszystko założył kurtkę, która swoim sportowym stylem i kolorem odbiegała nieco od „klasycznego” stroju kapłańskiego. Powiedziałem wówczas: „Księżę Tadeuszu, przydałby się czarny płaszcz do tego zestawu”. „Niestety, nie mam takiego” – odparł. „A może by ksiądz założył mój, który na tak specjalne wyjście chętnie pożyczę” – zaproponowałem. Ksiądz Tadeusz się zgodził i zrobiliśmy przymiarkę. Ponieważ różniliśmy się nieco posturą, a płaszcz był dosyć długi, ksiądz Tadeusz trochę w nim „utonął”. Ale nie bardzo. Podobał mu się pomysł i zdecydował się wyjść w tym płaszczu na spotkanie.

Po jakimś czasie wraz z naszym przełożonym generalnym ks. Andrzejem Urbańskim udaliśmy się w pewnej sprawie do ks. bp. Stanisława Dziwisza. Ja byłem ubrany właśnie w ten płaszcz. Ksiądz Biskup natychmiast go rozpoznał i ze śmiechem powiedział: „Teraz wiem, skąd Tadeusz miał ten płaszcz”. Zrobiło się zabawnie. Płaszcz mam do dzisiaj i cenię sobie to, że nosił go również ksiądz Tadeusz.

MICHAŁ ANIOŁ, BERNINI I CHOPIN

Dla księdza Tadeusza najważniejszy był człowiek. Kiedyś na tarasie domu generalnego powiedział mi, patrząc na kopułę Bazyliki św. Piotra: „Popatrz,

jakie to szczęście, że możemy codziennie patrzeć i podziwiać coś, co jest dziełem kultury ludzkości. Jaki ten Michał Anioł był genialny”. Spacer pod kolumnadą okalającą swoimi ramionami plac św. Piotra był zaś dla niego okazją do zachwytu nad geniuszem Berniniego, który ją stworzył. Kiedy ksiądz Tadeusz spacerował obok fontann, wsłuchiwał się w szum spadającej wody i mówił: „To jakby Chopin grał”.

„COŚ TY TAM ROBIŁ, TADZIU?”

Wraz z powrotem do Rzymu ponownie uzyskałem możliwość uczestnictwa w ceremoniach z udziałem Papieża. Było ich bardzo dużo, ponieważ nastał czas przełomu wieków, Kościół wchodził w trzecie tysiąclecie, a Papież się nie oszczędzał. Dzięki księdzu Tadeuszowi, który mnie często zabierał na te ceremonie, zawsze miałem miejsce bardzo blisko Konfesji, gdzie znajdował się papieski ołtarz. Wszystkie służby porządkowe, gwardziści szwajcarscy i żandarmeria już z daleka „wychwytywali” padre Tadeo – jak go w Watykanie wszyscy nazywali – i prowadzili w odpowiednim kierunku, aby wskazać nam miejsce.

Pewnego razu skierowano nas do ławek przygotowanych dla korpusu dyplomatycznego. Przed rozpoczęciem ceremonii podszedł do nas jeden z ceremoniarzy i zapytał, czy moglibyśmy pomóc w rozdzielaniu Komunii Świętej. Oczywiście zgodziliśmy się. Poinstruował nas, gdzie mamy stanąć w czasie jej rozdawania. We właściwym czasie, wraz z grupą innych księży, zgromadziliśmy się przed Konfesją i każdy z nas otrzymał w puszcze Najświętszy Sakrament, z którym udaliśmy się do wyznaczonych nam sektorów.

Kiedy wieczorem ksiądz Tadeusz wrócił do domu po kolacji z Papieżem, powiedział mi, że Jan Paweł II dostrzegł nas w gronie kapłanów rozdających Komunię Świętą i zapytał go: „Coś ty tam robił, Tadziu?”.

PRZEWRÓCONY KIELISZEK

Któregoś roku w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, w święto św. Szczepana Męczennika, ksiądz Tadeusz zakomunikował mi oraz księdzu generałowi Andrzejowi Urbańskiemu, że zabiera nas na kolację do Ojca Świętego. Przy stole było tylko pięć osób: Ojciec Święty i jego sekretarz ks. Mieczysław Mokrzycki, ksiądz Tadeusz, ks. Andrzej Urbański i ja. Ks. bp Stanisław Dziwisz poszedł w tym dniu na imieniny do mieszkającego w Rzymie ks. abp. Szczepana Wesołego. Ojciec Święty nie był już w najlepszej kondycji zdrowotnej. Trwała rozmowa. Opowiadaliśmy o sobie. Ojciec Święty słuchał z uwagą.

Ksiądz Tadeusz postanowił rozśmieszyć Papieża i opowiadał zabawne historyjki, a w końcu wstał z krzesła i zaśpiewał po góralsku. Rozłożył przy tym charakterystycznie ręce, tak że przewrócił stojący na papieskim stole kieliszek do wina. Ojciec Święty był bardzo rozbawiony i w jego spojrzeniu dostrzegłem wówczas, że bardzo kocha księdza Tadeusza. Patrzył na niego z wielką miłością. A w tym przewróconym kieliszku na szczęście była tylko odrobina wody.

MUZYKA I ŁZY

Bardzo znane było zamiłowanie księdza Tadeusza do muzyki. Chciał kiedyś studiować muzykologię, ale przełożeni, nie bez natchnienia Bożego, zdecydowali inaczej. Będąc częstym gościem w moim pokoju, przynosił niekiedy ze sobą płyty kompaktowe z muzyką klasyczną, której razem słuchaliśmy. Czasem przy wspólnej pracy nad jakimś tekstem w moim pokoju włączałem cichutko muzykę Chopina jako „podkład” do tego, co robiliśmy. Niekiedy ksiądz Tadeusz przerywał pracę i z zachwytem mówił: „Daj głośniejsze, posłuchamy tego fragmentu”.

Wiem, że nie byłem w naszej wspólnotie zakonnej jedyną osobą, z którą słuchał muzyki. Kiedyś jeden ze współbraci, pochodzący z Kolumbii, powiedział mi, że pewnego wieczoru ksiądz Tadeusz przyniósł ze sobą płytę, którą otrzymał w prezencie. Nie przypominam już sobie, co to była za płyta, ale na pewno zawierała nowe nagranie sławnego utworu, który wykonywała sławna orkiestra. Zapukał wieczorem do jego pokoju i zaproponował, aby wspólnie posłuchali tej muzyki. Potem współbrat ten powiedział mi: „Muzyka była wspaniała. Ksiądz Tadeusz tak się wsłuchał, że aż się głęboko wzruszył. Z oczu płynęły mu łzy”.

„ROZSUŃCIE ZASŁONY”

Ksiądz Tadeusz Styczeń był jedną z kilku osób obecnych przy śmierci Jana Pawła II. Przez cały ten pamiętny Wielki Tydzień 2005 roku cały czas przebywał w pobliżu Ojca Świętego. W Wielką Sobotę w obecności Papieża śpiewał w czasie ceremonii wielkosobotnich „Exultet” po łacinie. Jak mi później powiedział, Papieżowi bardzo trudno było oddychać i aby mu pomóc, trzykrotnie przerwano liturgię w jego prywatnej kaplicy. Przy łóżku chorego Ojca Świętego ksiądz Tadeusz czytał mu Nowy Testament. Kiedy nadszedł czas odejścia Papieża do wieczności, był świadkiem niezwykłej przemiany oblicza Jana Pawła II. Cierpiąca twarz człowieka, przez wiele lat dotkniętego ciężką

chorobą, przemieniła się w taki sposób, jakby w mistycznym uniesieniu dostrzegł on kogoś, kto wyszedł mu na spotkanie na progu Domu Ojca.

Ksiądz Tadeusz powiedział mi, że zaraz po śmierci Ojca Świętego pozwolił sobie dotknąć nieżyjącego już Papieża różańcem. Wyznał mi, że został za to delikatnie skarcony, bo nie wolno było już tego robić. Od chwili śmierci Papieża obowiązywały bowiem przewidziane prawem procedury, które natychmiast zaczęto realizować.

W tym czasie na placu św. Piotra tłumy ludzi modliły się za umierającego. To właśnie ksiądz Tadeusz, myśląc o tej rzeszy modlących się w intencji Jana Pawła II, zaproponował, aby dać jakiś czytelny znak, że Papież zakończył ziemskie życie. „Rozsuńcie zasłony w oknach apartamentów papieskich” – zaproponował. Tak też uczyniono. Modlący się na placu ujrzeli światła w oknach Ojca Świętego. „Papież umarł” – podawano sobie z ust do ust.

ODMAWIAJĄC SPEŁNIENIA PROŚBY, POGŁASKAŁ PO POLICZKU

W związku ze śmiercią Papieża z całego świata przybyły do Rzymu ekipy radiowe i telewizyjne. Świat był na bieżąco informowany o szczegółach śmierci Jana Pawła II Wielkiego – jak natychmiast zaczęto go nazywać – i podjęto pierwsze próby podsumowywania pontyfikatu. Trwały równocześnie przygotowania do pogrzebu.

Dziennikarze „polowali” na znanych ludzi, którzy mogliby udzielić wywiadu na temat ostatnich wydarzeń. Do ludzi tych należał również ks. Tadeusz Styczeń, który był jedną z osób obecnych przy Papieżu w chwili jego śmierci. Co więcej, ponieważ mieszkał poza Watykanem, był bardziej od innych „dostępny” dla prasy. Szliśmy razem z placu św. Piotra, kiedy blisko naszego domu ksiądz Tadeusz został zatrzymany przez znaną dziennikarkę z Polski, która z włączonym mikrofonem i nakierowanymi na niego kamerami zaczęła zadawać mu pytania. Sytuacja ta go zaskoczyła. Wiem, jak głęboko osobiście przeżywał odejście Jana Pawła II, jak dużo wtedy się modlił. W blasku światel i skierowanych na niego kamer bardzo delikatnie pogłaskał dziennikarkę po policzku i łagodnie powiedział: „Dziecko, gdyby Tobie Ojciec umarł, czy poszłabyś z tym do telewizji?”. Światła zgasły. Kamery zostały wyłączone. Zdołaliśmy dotrzeć do naszego domu i już bez przeszkód wejść za klasztorną bramę.

OSTATNI RÓŻANIEC NA PLACU ŚWIĘTEGO PIOTRA

To było już po pogrzebie, ale jeszcze przed konklawe. Wieczorem poszliśmy z księdzem Tadeuszem na plac św. Piotra, aby wspólnie odmówić róża-

niec. Wychodziliśmy tak przez kilka wieczorów, chłonąc atmosferę tego wyjątkowego miejsca i obserwując przygotowania do konklawe, kolejnego niezwykle go wydarzenia w historii Kościoła. Po różańcu, spacerując, rozmawialiśmy. Słuchałem uwag księdza Tadeusza na temat wyzwań, jakie stać będą przed nowym Papieżem. Dzieliłem się swoimi niepokojami o to, jak się potoczą losy Kościoła, czy spekulacje prasowe o kandydatach na nowego Papieża się potwierdzą i czy przypadkiem w Kościele nie pojawi się jakaś postać, która – tak jak przedstawiała to prasa – będzie chciała głęboko zreformować Kościół, zrewidować postawę Kościoła co do kapłańskiego celibatu i rozważyć kapłaństwo kobiet. Te nasze rozmowy dużo dały mi w tym czasie, w którym przeżywałem lęki i niepewność co do przyszłości Kościoła, chociaż wiara podpowiadała mi, że „bramy piekielne go nie przemogą”. Tak zwana przepowiednia Malachiasza, o której byłem przekonany, że jest fałszywa, związana jest z imionami kolejnych papieży. Imiona te są już „na wyczerpaniu”. Wyobraźnia zaś kierowała uwagę na fakt, że zbliżają się czasy, na które należy patrzeć z troską, a nawet niepokojem. Na placu św. Piotra odmawialiśmy różaniec i mieliśmy czas, by dzielić się także swoimi myślami.

Patrząc wstecz, na tamte ostatnie już chwile przebywania z księdzem Tadeuszem, mogę dzisiaj wyznać, że stałem się jego powiernikiem, a oprócz tego, że byłem już od dłuższego czasu jego spowiednikiem, on stał się moim. Dlatego zdobyłem się na odwagę, żeby zapytać go wówczas o tamten wieczór, wieczór śmierci Jana Pawła II. Trwało to ponad godzinę, kiedy minuta po minucie opowiadał o wydarzeniach, których był świadkiem. Spacerując, przemierzaliśmy plac św. Piotra kilkadziesiąt razy. Mówiąc, ponownie przeżywał tamte chwile.

Z wyboru nowego papieża Benedykta XVI był bardzo zadowolony.

OSTATNI TELEFON

Po odebraniu doktoratu honoris causa na Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie ksiądz Tadeusz nie przyjechał już więcej do Wiecznego Miasta. Bał się również tego ostatniego wyjazdu. Wahał się, czy pojechać, ale wsparty przez wielu, pokonał wszelkie trudności i przybył. Co więcej, pobyt ten na nowo „poderwał” go do życia. Czuł się tutaj doskonale i był szczęśliwy.

Kiedy powrócił do Polski, kilka dni, a może tydzień po doktoracie, zatelefonowałem do niego, jak to miałem niekiedy w zwyczaju, aby porozmawiać. To była bardzo serdeczna rozmowa. Ksiądz Tadeusz był wdzięczny wspólnocie Domu Generalnego za przyjęcie. Był bardzo zadowolony z wyjazdu do Rzymu i mile go wspominał. W tych wspomnieniach jednak już wtedy bardzo trudno mu było odnaleźć nazwiska poszczególnych osób, o których chciał mi

opowiedzieć. Słyszałem go i czułem, jak się męczy, próbując sobie przypomnieć, odtworzyć w pamięci to, co chciał mi powiedzieć. Choroba czyniła postępy. Z żalem pomyślałem, że będzie to nasza ostatnia rozmowa. I tak się stało. Już więcej nie telefonowałem. Nie chciałem narażać jego pamięci na wielki wysiłek.

*

Dzisiaj dzięki tym wspomnieniom uświadamiam sobie, że przez przykład swojego cichego, skromnego i pokornego, a zarazem wielkiego życia ksiądz Tadeusz uczył dzień po dniu, jak być dobrym człowiekiem i prawdziwym zakonikiem.

Oprócz wspomnień, pozostała mi już tylko modlitwa dziękczynna za jego piękne życie, modlitwa o spokój jego duszy i wdzięczna pamięć o współbracie, z którym łączyła mnie szczerą braterską miłość.

Rzym, w uroczystość Świętego Józefa Oblubieńca NMP, 19 marca 2011